

Pszonka wychodzi dwa razy na miesiąc. Każdy oddział składa się z dwunastu półarkuszów, których cena dla emigracyi franków pięć, za granicą złotych polskich dwanaście. Komu z emigrantów dogodniej, może rozdzielić opłatę na dwie części. Adres Redakcyi: *M. André*,



Polonais, rue Vieux-Marché aux Poissons, 69, à Strasbourg (Bas-Rhin). Można także zapisywać się i składać opłatę w Paryżu: w Redakcyi *Demokraty Polskiego*, w Księgarni Polskiej i u Ob. Jokisza; na prowincyi zaś u sekretarzów Towarzystwa Dem. Pol.

PSZONKA.

DZIESIĘĆ OBRAZÓW, ITD.

Kto przeczytał jak my *Dziesięć Obrazów*, całe, wszystkie z przedmową, z poezją, z przypiskami, jednm słowem od deski do deski (wyjawszy stronicę omyłek, bośmy uważali całe dzieło za jedną wielką omyłkę) ten zdaje się wywalczył sobie prawo powiedzieć o nich słów kilka, wysapać się po takim trudzie.

Teraz tylko sęk od czego zacząć? Po odbytem takim przeczytaniu niełatwo się polapać, zaprowadzić zwyczajny szyk w głowie. Po co ta troska? Alboż twórca *Dziesięciu Obrazów* nie dał nam przykładu grubego jak tom o kilkuset stronicach, że przy dobrej chęci, przy śmiałości, przy pomocy bożej, można pisać bez ładu i składu co chcemy i jak długo chcemy? Ha! dziej się wola boża, zaczynamy!

Proza na wstępie — coś nakształt przedmowy, nakształt odezwy — potem wiersze, potem znowu proza, przypisy i jeszcze przypisy, i bez końca przypisy, nieobejrzane, niezgłębione, nieobezytane. Mamyż zacząć od prozy czy od poezyi? Ale twórca ostrzeża w przedmowie, czyli we wstępnym przypisku że jego dzieło nie jest ani prozą ani poezją. Coż tu począć? Zdać się na los. Bierzemy więc za poezję prozę rymowaną, a za prozę te wiersze gdzie rymów polapać niemożemy. Według tego, jeżeli się niemylimy, proza będzie w przedmowie i przypisach, a poezya w scenach zwanych właściwie *Dziesięcią Obrazami*. Pierwszeństwo dajemy poezyi (prosimy pamiętać że przez przypuszczenie tylko używamy tej nazwy).

Jaka była główna myśl poety? domyślać się tylko możemy. Ale że domysł może być mylny, zdanie więc o tém zatrzymamy przy sobie. Że jednak trzeba coś powiedzieć, to z resztą powiemy. Zdaje się nam tedy że poeta chciał uwiecznić tak zwaną partyzantkę *Zaliwskiego*. Miarujemy to po wprowadzonych na scenę osobach takich: jak *Zaliwski*, *Wółłowicz*, *Zawisza*, *Kouarski* i tym podobni. Pole działania ogarnia Francję i Polskę, dostało się nawet i gorze *Sęgo Bernarda*. Działanie opiera się na wypadkach licznych i ważnych. Wtajemniczamy się w narady paryskiego węglarstwa, patrzymy na świat z gór szwajcarskich, wi-

dzimy bitwę oddziału *Dziewickiego* z Moskalami i śmierć dowódcy, słyszymy opowiadanie o powieszeniu *Zawiszy*, itd. Wypadki te są w rzeczy samej ważne i mogą zaspokoić największy talent. Poeta nieprzeszał na nich: wprowadza nas jeszcze między szlachtę galicyjską, dla przypatrzenia się *Majorowi T...*, weale na to niezasługującemu przy całym duchu satyrycznym, którym autor chciał nacechować tę scenę: nakoniec, jakby dla wyczerpania całego dramatycznego zawodu, przesnuł swoje dzieło miłosnemi cierpieniami, a wszystko zawiązał śmiercią *Kassylidy*, kochanki *Wółłowicza*. Jakkolwiek litujemy się nad tą ofiarą niewinną, a jedynie, jak się zdaje, ofiarą rozhukanego ducha poety, niemożemy jednak poczytywać tej śmierci za złą, widząc że ona zakończyła *Dziesięć Obrazów*, zgładziła niejako cały grzech poetyczny.

Oddaliśmy w głównych rysach główną osnowę dzieła z całą jasnością i porządkiem, jaki mogliśmy z niego wyczerpnąć, a ze zwięzłością, dzięki bogu, większą. Niech więc wolno nam będzie na mocy tej zasługi, dotknąć jeszcze jednego szczegółu *Dziesięciu Obrazów*, jednego tylko. — W dramatach zwyczajnych poetów, poetów starowierców, osoby wprowadzone występują z właściwemi sobie charakterami, każdy ze swoją fizyonomiją, każdy mówi językiem stosownym w duchu swojej roli; ale takie indywidualizowanie (sobkowstwo) przeciwnie jest doktrynie *Dziesięciu Obrazów*. Spółność własności rozszerzona tu do własności duchowych; bohaterowie weszli na scenę pod warunkiem poświęcenia całkowitego swoich osób na korzyść jednej jedności, którą jest autor: wszyscy zleli się w autora; przez autora wszyscy mówią. Panny deklamują jak węglarze, partyzanci śpiewają jak panny, a wszyscy, widać, wyuczyl się jak kanarek przy pozytywku: Biada temu kto zapomni że owoce ziemi do wszystkich należą. a ziemia niemoże być uiczyją własnością. Jednym słowem, jestto widowisko *Poliszynella*, gdzie się pokazują wprawdzie różne osoby i dokazują różnych figlów, ale ukryty figlarz piszczy za wszystkich. Pisarz przypisów, jednm słowem: przypisarz, wyobraża tu kota znajomego publiczności *Pól-Elizejskich*; okolo nieruchomości jego nauki, jak okolo kota jasełek krąży całe działanie *Dziesięciu Obrazów*. Z innego znowu

stanowiska uważając dzieło: jestto potrochu wszystkiego; w układzie podobne do porządku galerii parawanowej, a w mieszaninie do siekaniny z różnego mięsiwa, opieprzonej niemiłosiernie deklamującym osobnictwem poety. Niejesteśmy w stanie powiedzieć coś więcej o poetycznym obliczu Dziesięciu Obrazów mimo szczerzej chęci. Idźmy więc do prozy.

Powiadają że w dziele: Dziesięć Obrazów, nie przypisy napisane są dla tekstu, ale tekst dla przypisów; że mniej tu chodziło o poetyczne wystawienie partyzantki, jak o wygadanie się w przedmiocie kilku niby wyobrażeń społecznych, mających ukonstytuować nihy królestwo boże. Czy tak jest czy nie, to pewna, że jakkolwiek poezja Dziesięciu Obrazów niejest poezją, jednak stoi nierównie wyżej od prozy przypisków. Może dla tego, że mniej się wdawała w rozumowania i przesłiznęła się tylko po wierzech doktryny w przypiskach zawartę? Tego nie wiemy.

Ale są w tém dziele rzeczy które wiemy, o nich więc pogadamy, zapowiadając z góry że niezrobimy tej krzywdy zdrowemu rozsądkowi publiczności polskiej, abyśmy się wdali w szczegółowe roztrząsanie wszystkich wyobrażeń przeciwnika.

Zwrócimy się naprzód do tego co się nam podoba, i za co powinniśmy podziękować.

I tak, dziękujemy przypisnikowi za piękny cel dzieła.

Dziękujemy za to co mówi o miłości, o poświęceniu się, o partyotyzmie, o czci powinnej męczennikom Polski, o ukorzeniu się przed ich wzniosłą śmiercią, o zbawieniu przyszłych pokoleń przez powszechne poświęcenie się na wzór Chrystusa.

Dziękujemy za to co mówi o wyprawie Zaliwskiego, o mężach tej wyprawy, o jej przeciwnikach.

Dziękujemy że chce wszechwładztwa ludu, że wierzy w lud jako w najwyższą po Bogu potęgę.

Dziękujemy za wszystkie ciosy wymierzone w Mikołaja, w królów, w szlachtę, w ciemnościeli, w bałwochwalstwo polityczne.

Dziękujemy za dawane im nazwy: złodziejów, rozbojników i tym podobne. Sami nieśmielibyśmy ich użyć, ale radujemy się w duchu kiedy znajdujemy wyręczyeli. Prosilibyśmy tylko dodać do tej litanii komunistów. Zaprawdę, zaprawdę powiadamy przypisnikowi, choć ich niemamy jeszcze za jedno ani ze złodziejami, ani z rozbojnikami, ale jesteśmy przekonani, że ich doktryna usiłująca przerabiacz dzień Polskę na swoje kopyto, zrządziłaby jej tyle złego co złodziej, szlachcic i rozbojnik Mikołaj, posłużyłaby im przynajmniej jako pożądany sprzymierzeniec przez zawichrzenie rozumu i budowy polskiej, wywrótem wszystkich jego pojęć narodowych, wszystkich podstaw do góry nogami.

Dziękujemy, jedném słowem, za wszystko dobre cośmy pojęli i niepojęli. Są to myśli nasze, bo przypisnik wziął je stamtąd skąd i my bierzemy—z serca chrześcijańskiego. Polecilibyśmy nawet podobne miejsca naszym czytelnikom, gdybyśmy widzieli w nich cierpliwość naszej równą; jakkolwiek bowiem są piękne w swojej istocie, są obok tego przez nieszcześliwe umieszczenie porządnie nudne—coś nakształt lukrecyi, mimo całej usilności, z jaką przypisnik łagodził ich smak żółcią właściwej sobie chrześcijańskiej miłości. Bądź co bądź, odsunąwszy na stronę tę ogólną cechę Dziesięciu Obrazów, przyznajemy że autor okazał w tych miejscach znajomość ewangelii, jakkolwiek przetrwonęj w sercu autora właściwym jemu sposobem.

Ale za to, wieleżto miejsce gdzie i tego śladu niemają, gdzie przypisnik jest już to najmniej kiedy tylko brzmiałym cymbałem, że z przeproszeniem przypisnika użyjemy tego wyrazu przez pożyczkę z jego własnego słownika.

I tak przypisnik jest brzmiałym cymbałem, kiedy uderza na własność osobistą i przypisuje takiej własności jako konieczny skutek wyosobienie się ze społeczności. Własność osobista, to jest własność nabyta godziwem działaniem władz osobistych, jest tylko wzmocnieniem, rozszerzeniem tych władz, a wyraźniej rozszerzeniem, wzmocnieniem strony materialnej człowieka czyli ciała, czyli narzędzia, które mu jest konieczne aby spełnił swoje powołanie. Zaprzeczać człowiekowi prawa do własności osobistej, jestto zaprzeczać mu prawa do jego ciała. Utrzymywać że

własność osobista wyosabia człowieka ze społeczeństwa, wychodzi na jedno co utrzymywać że ciało ludzkie wyosabia go z niego. Odjęcie człowiekowi prawa do własności osobistej, nie jest rękonią należytego pełnienia obowiązków społecznych. Jak właściciele osobisci poświęcają się nieraz w zupełności, tak równie mogą być i są niewłaściciele którzy się wylamują z pod zakonu poświęcenia i odstępają swojego społeczeństwa w potrzebie. Zgola własność osobista nieprowadzi za sobą wyosobienia się, egoizmu.

Przypisnik jest brzmiałym cymbałem, kiedy zaprowadza dzisiaj spólną własność, i popiera ją głównie przykładem pierwszych chrześcijan. Własność spólna utrzymywała się między pierwszymi chrześcijanami, kiedy chrześcijaństwo nieutworzyło jeszcze oddzielnego narodu, kiedy całe zamknięte w szczupłej liczbie rozproszonych pomiędzy narodami wyznawców tworzyło rodzaj zakonu, sektę, potrzebowało nadzwyczajnych wysiłen, nadzwyczajnego stanu do utwierdzenia swojej wiary, kiedy rozpalone jeszcze dziewiczym ogniem słowa świeżo z niebios spuszczonego było w możności zdobyć się na ten byt nadzwyczajny, kiedy całe zajęte było raczej zbawieniem jak sprawami ziemskimi, raczej dobrem zagrobowem jak życiem doczesnem, zgola: kiedy było tém czem są i dziś jeszcze zakony niemające własności osobistej. Zmieniło swoje wyobrażenia kiedy ze wzrostem swoim zmuszone było zastosować naukę Chrystusa do bytu ziemskiego.

Przypisnik jest brzmiałym cymbałem, kiedy gada o zamienieniu Polski w królestwo boże. Nie dla tego, broń boże, abyśmy sobie niczyczyli takiego jak Pan Bóg króla—na tego jednego dalibyśmy nasze wotum.—Ale czy podobna myślę o tém na seryo, przynajmniej dzisiaj. Nam się zdaje tak niepodobna, że mamy wstręt od zbijania tego pomysłu na seryo. Powiemy jednak słów kilka, a powiemy dla tego, że jest w tém sprawa nie z samym tylko przypisnikiem, i nie o boże tylko królestwo. Znajdą się między naszymi czytelnikami którzy odgadną do kogo pijemy. My niebronimy dzisiejszego porządku rzeczy; świadkami ci którzy na nas krzyczą jak na złodziei, rozbojników, marzycieli, itd. Wierzmy nawet w przyszłe królestwo boże, ale dzisiaj! dzisiaj dążymy tylko do zrobienia tego co zrobić można, do rzeczypospolitej polskiej, w ścisłym pojęciu dzisiejszym tego słowa. Myślimy że na tém właśnie zależy dzisiaj najwyższa, prawdziwa miłość ludu. I my także moglibyśmy sobie wymyślić doktrynkę, spirytualniejszą od wszystkich jakie dotąd były, bardziej społeczną (komunistowską), bardziej chrystusową, bardziej króloboską jak doktryna przypisnika i tylu pokrewnych mu nie-przypisników, najwyższy ideał, nie już królestwa, ale carstwa bożego—bo mamy poetów, którym dzięki bogu niezhywa na fantazyi a gdyby ta poszwankowała, pożyczylibyśmy jej z pierwszego lepszego domu zdrowia, i przesadzilibyśmy wszystkich dotychczasowych utopistów—nie wątpimy że o tém nikt nie wątpi—moglibyśmy więc wymyślić taką doktrynę, i zabrać się do jej zrealizowania, a wszystko na zasadzie odlamanej ostatniej pęczki ewangelicznej; ale pytamy: jaka stąd korzyść dla ludu? gdybyśmy nieznalezli dosyć sił do zrobienia tego co chcemy, a przeszkadzali temu co zrobić można? Oto, mybyśmy marzyli, krzyczeli, burzyli, a biedny lud cierpiałby po dawnemu. Nie! ludowi niechodzi o najlepsze od razu ale tymczasem o dobre: prawdziwym zaś przyjaciółom ludu powinno chodzić nie o to, aby natychmiast urzeczywistnić pierwsze lepsze widzi-mi-się, jakie wycytujemy niby z ewangelii lub pocziwego serca, ale o to, aby wprzedy przygotować miejsce dla tej myśli, usposobić do niej tak przyjaciół jak nieprzyjaciół. Żeby z tym światem dojść do ładu, trzeba naprzód poznać jaki jest, potem jaki być może w pewnym czasie, z pewnymi ludźmi, a nakoniec ocenić własną zdolność do podobnych robót. I to podług nas jest praktyczność, na którą przypisnik powstaje, tak przynajmniej sądzimy; jeżeli się mylimy, wina jego ogólników. Z taką praktycznością pogodzić się zjemy przypisnikowi z całego serca, dla dobrej sprawy, i dla jego własnej reputacyi. Może ten wyraz jest zimny, nadużyty, a co pewna niebardzo swójski, ale nie tak i niedorzeczny jak się zdaje, bo pomiędzy innemi i to on powiada, że nie można urządzać tego świata w takim stanie umysłu, jak żeby

tylko co się wyszło z uczyty w Kanie-Galilejskiej.—Na tém nie koniec. Królestwo boże pod warunkami podanemi przez przypisnika zaprowadza niewolę jak należy. Dowiedlibyśmy tego jasno, ale to przedłużyłoby naszą gawędę, a mózby ściągnęło podejrzenie żeśmy się zarazili chorobą, którą leczyć chcemy, i że w rzeczy samej uważamy za coś ważnego gawędę przypisnika.

Idziemy więc dalej i jeszcze raz słyszymy próżny brzęk cymbalu. Słyszymy go w tém miejscu, gdzie przypisnik napęda do utworzenia królestwa bożego przez stan społeczności, w którym wzajemna tylko miłość ma być prawem, władzą, itd.—miłość ma się rozumieć taka jaką przypisnik okazuje. Wyobraźmy sobie teraz gminę złożoną z podobnych ludzi i podobnie urządzoną: Piękna mi boża gmina! Z resztą możeby to i niebyło tak złe jak się nam zdaje; może przypisnik ma siłę dostateczną do urządzenia społeczności. Dobrzeby zrobił gdyby dał próbę swoich zdolności, naprzykład przez uszykowanie nasamprzód własnych wyobrażeń lepsze niż jest w przypisach.

W powyższych pomysłach przypisnik wydaje się cymbalem brzmącym, ale są miejsca gdzie go już widzimy nawet bez przymiotnika. Daje on naprzykład gdciniegdzie do zrozumienia że odłamał jedną z pieczęci pisma świętego, czyli że pojął ewangeliję. Na Boga! niech tego niegada. Kto go przeczyta albo mu ubliży niewiarą, albo uwierzywszy może powzjaść o ewangelii wyobrażenie niebardzo korzystne, ujmujące jej świętości. Jestże co ewangelicznego, technącego duchem pierwszych roszwiewców chrześcijaństwa w tój gadanie, oprócz kilku myśli wiadcem z ewangelii ni przszytych ni to przylatanych, oprócz kilku wyrazów które uwzjął się wszędzie mieszać jakby na sparodyowanie podstaw Chrystyanizmu. Ta żółć burząca się na dnie każdego pomysłu, każącego niby miłość; ten brak natchnienia, bez czego w przedmiocie tak ważnym, tak wzniosłym ani pisać ani mówić dobrze niemożna, brak który ciągle włóczy pisarza po płaskościach myśli, tarza go jedynie w jej mętach, to wieczne wirowanie okolo kilku myśli, które nierozjaśnia ich o jedną iskrę więcej, nieposuwa naprzód o krok jeden, te stopy wyrazów bez myśli, te bagno myśli bez duszy, jest—zeto owa prostota, godność, wzniosłość, pokora natchnionych opowiadaczy słowa miłości, słowa bożego? jest—zeto ten niebieski ogień, święta po nich spuścizna? Nieprzystoją one raczej półmędrkowi, który obok siebie niewidzi nic równego sobie, niezdolnemu strawić umysłowego swojego pokarmu, zloszczącemu się na świat że nierozumie tego czego on sam niepojął? Minęły widać te czasy, kiedy celnicy, rybacy, napojeni słowem Chrystusa rozlewali je na świat strumieniem tak jasnym, czystym, świętym, tak godnym swojego źródła; dzisiaj profesorowie nawet wyrównać im niemożę. Dla czegoż to? Dla tego niezawodnie, że, nieprzymawiając nikomu, udajemy apostołów niemając ich przymiotów, prostaczków, mając rozum przewrotny, miłujących a opętanych miłością własną, gadających o poświęceniu się bez chęci poświęcenia się. I my! tacy ludzie, w takich czasach nieprzestajemy na rzeczyspolitej polskiej, pniemy się do królestwa bożego! O nie! dopóki będzie jak jest, przynajmniej w Dziesięciu Obrazach, dopóty wszystkie nasze przypisy i nieprzypisy będą jako brzęk cymbala; dopóty będziemy wołać: biada temu kto się z Chrystusa zgorszy!

Z resztą niema nic złego coby na złe niewyszło: kto gada ten się wygada. W tym przypadku zdaje się nam być przypisnik.

Zapomnieliśmy jeszcze za to podziękować. Właśnie ten popęd do wielomóstwa, odkrył nam przyczynę dla której przypisy niezrobują wielkiego zamieszania w umysłowym świecie polskim, tą przyczyną — jest — brak talentu i sensu. Mimo to jednak byłyby ciekawe, gdyby nie tyle nudne. Bo proszę tylko wyobrazić sobie tłum liter zapelniających kilkaset stron w wiecznym obrocie okolo kilku myśli, a raczej kilka myśli depejących wiecznie po jednej scieżce, ślady tych samych liter. Wiemy co mówimy. Wiemy o tém że niejest wadą dzieła, kiedy w niem panuje kilka tylko głównych myśli: nawet jedna może się rozwinąć w dzieło bardzo wielkie a jednak zajmujące, kiedy rodzi lub zamyka logiczny szereg myśli koniecznych, ale przypisom niemożna tego zarzucić. Sąto wprawdzie przypisy, każdy z nich stanowi osobną

niby całość, cóż, kiedy ta osobność niema nic osobnego, bo każdy mówi o tém co wszystkie a wszystkie o tém co każdy pojedynczo, dla tego też każda całość jest tak dobrze nudną jak wszystkie razem, i w tém tak są do siebie podobne jak portret Wółłowicza, na początku dzieła umieszczony, do twórcy dzieła, jeżeli pobocznym wieściom wierzyć mamy; w czém z resztą niewidzimy nic ubliżającego — przynajmniej pisarzowi.

Teraz pozostaje nam prosić szanownych rodzicieli Dziesięciu Obrazów, aby nam niebrali za złe, jeżeli w sposobie żartobliwym mówiliśmy o dziele tak ważnem przez swoją objętość, jeżeli czasem wymknął się nam żart za ostry może dla ich serc kochających. Bóg nam świadkiem że ten uśmiech niepoczyna się w nas ani z pogardy, ani z nienawiści, a tém mniej ze sceptycyzmu. Jest on nam wrodzony jak bywają wrodzone najlepszym ludziom ponurość i dąsanie się. Niekrepujemy go, bo wiemy że mamy do czynienia z ludźmi, którzy, pomimo uśmiechu naszego, wierzą w nasze braterskie dla nich uczucia, jak oni sami kochają ludzi, choć ich łąją gdzie napadną: nakoniec i to wiemy że mogą się pomsć kiedy zechcą, bo w ich prawicach spoczywają gromy POGROMEK.

KORESPONDENCYA.

Umieszczamy poniżej list jeden i drugi, przyslane nam uprzejmie przy następnem piśmie:

Wersal, 30 marca 1842 r.

SZANOWNY REDAKTORZE,

Szczęśliwym trafem między rodzinnymi szpargałami wynalazłem dwa następujące listy, które nadto szacownemi mi się zdają, abym ich publicznej wiadomości przez pismo twoje niepodał. Są to, że pomine ważność przedmiotu który traktują, wzory precyzyi, erudycyi, a nade wszystko tój oglady naszego wieku, w której on niezaprzeczenie nad wszystkie wieki celuje. Listy te pisane były w r. 1841; zapisu ani podpisu na nich nieznalazłem—kto wie, niech dopisz. W chwili kiedy *Rysy politycznego życia* sławnych mężów naszych drukiem rozpoczęte już zostały, życzyłoby należało, aby wszyscy podobne listy posiadający, *skarbu swojego w ziemię niekopali*, ale, czyli to przez pisma peryodyczne ogłosili, lub wprost zajmującym się wydanem przesłali.

(Podpisano): Korespondent *Pszonki i Dziennika-Narodowego*.

I.

JĄŚNIE WIELMOŻNY HRABIO, KOLEGO W SEJMIE I DOBRODZIEJU!

Jak to jest pewna że nieżyjęm bez duszy a bez powietrza nie tchniem, tak bez sejmu, my prawa Szlachta Polska, wiekować w peregrynacji niemożem; *consequenter* być przeciw sejmowi jest *patria abrumperę vitam*. Rwanie sejmu wielkie spowodowało między nami zamieszanie, opłakanych tragodyów przepaściste otwiera źródło. Przez rwanie sejmu, expensa nasza, trudy, prace, zjazdów ze wszystkich krańców świata, oczekiwania, nadzieje, w nic jedno idą. Częste i zbytnie obrady publicznych rwanie, Tacyt mówiąc o anarchii polskiej: schyłkami wolności nazywa; Cyceron zaś opisując Nowogródek-Litewski: cytrą, na której z wieńca rozerwanego kwiaty w liściami rozsypują się. Chybaby komu albo gruba tępość, albo złość tak okrutnie zaćmiła rozum, żeby niewiedział i nieucznał że w sejmie tylko, cały rząd, cała moc, cała forma i policja peregrynacji, cała wolności Narodu Polskiego *exercitium*, całe publiczne i prywatne każdego z nas dobro i szczęście zaległo. Nieprę ja tego, że czasem i rwanie sejmów na dobre wychodziło, ale przodkowie nasi tego tak niebezpiecznego lekarstwa *in solis* nadzwyczajnych okazyach używali. Późniejszych zaś czasów, osobliwie od Jana Kazimierza, jakęśmy częścią tego *remedium* zażywać poezeli, nietylko skutku dobrego nieczyni, ale i na tęgości *perdit*. Bo może być niefortunniejszy *status* peregrynacji, jako dla częstego zrywania zostawać bez sejmu, trudzić króla, ciebie hrabio, zgromadzać się z dalekich i odległych krańców na jedno *magnum nihil!* czasu kilka niedziel na dysputach niepotrzebnych stracić, i *tandem* tak wielkie światła całego Polskiego *motus*, zawody, prace, mozoly, nadzieje, tém jedném kończyć: *parturiunt montes, nascitur ridiculus mus*. Tym czasem ojczyzna zostaje bez pomocy i rady o sobie, u postronnych idziemy w pospoczygę; stąd ustawicznie w kraju *wiolencye*, kościolów katolickich rabowanie, klasztorów pustoszenie, kapłanów morderstwa, niepod-

danych ale szlachty gwałtowne od Moskali turbowanie; stąd cudzoziemskich dworów zawieszona z nami interesa z pośmiewiskiem naszego nierządu; stąd *desideria* JW. Hrabiego tyle razy niezemiennie spełzłe. i hać się trzeba aby ostatnia z tego ciągłego zrywania sejmu niewypadła zęba, ile, że *nie może Bóg bardziej żadnego ukarać królestwa, jako gdy go bez rady, w zamieszaniu, w ślepotcie, w kłótniach, w niezgodzie, bez żadnej konkluzji zostawije.*

Co wyraziwszy, mam honor zostawać z najgłębszym poważaniem.

II.

JAŚNIE WIELMOŻNY HRABIO, BRACIE W CHRYSZTUSIE I DOBRODZIEJU!

Poświęcony służbie Boga i interesom kapitalnym Miłościwego Adama I^o i miłej nam wszystkim Ojczyzny, jeżeli się odrywam na chwilę od tych mych ważnych obowiązków. i sprowadzam pióro apostoła i ewangelisty na grunt polemiki doczesnej, to nie dla czego innego, *credite Archiv!*, jak że w tym postępku niewiedzę żadnego występku, ale nawet jeszcze interes publiczny. Wszak powiedział jeden z Ojców: «*hedziecie żyli duchem i prawdą.*» Owoż, Jaśnie Wielmożny Hrabio, położyłeś w ostatnim piśmieku swójem te słowa: «*napiisałem książkę; chce ją oddać pod sąd spółziomków; ale gdzież ich szukać? niema biblijoteki...* etc., etc., etc.» i wystosowałeś na tej zasadzie mądry i chwalebny projekt założenia w domu twoim publicznej biblijoteki. Myśl wysmienita, ale jak Pana Boga kocham tak nieoryginalna, ale co do słowa prawie przekopijowana z planu, który ja, lat temu cztery, ułożyłem, i który niedawno, niestety! jednemu z przyjaciół JW Pana komunikowałem. Byłoby po wyjściu na świat *Moich uwag nad mową ustną i wiązana*; takem się wtedy wyłuszczał:

Exegi monumentum I... (HORACJ)

Napiisałem dzieło. (JWPan mówisz książkę vel dziełko, to słusznie, ale czyż nie kopija albo przynajmniej naśladowanie), pod sąd spółziomków oddać je chce.. (JWPan przekładasz lokucję i psujesz efekt zachowując też same wyrazy). Miłościwy Pan mi to radzi. (JWPan pomimo zgody z *Księciem Panem* chcesz mieć minę plebeja w kontuszu i wypuszczasz ten frazes.) Ale gdzież są te spółziomki moje! (Myśl też sama, tylko u JW Pana prozaičniej oddana) Niema biblijoteki!.. (słowo w słowo). Nieprzedłużam tego porównania, bo sądzę że dosyć powiedział kto był twórcą myśli o której mowa. Oto są powody dla których wyzywam i proszę Jaśnie Wielmożnego Pana o sprostowanie opinii publicznej.

Mam honor pisać się z winnym szacunkiem.

Dnie szalone w Poznaniu.

«*Bawmy się! cieszymy się! hulajmy! grajmy! do zawrótu mózgu, jak pijane bachantki — knut, niewola, spodlenie, strata ojczyzny, śmierć najlepszych spółbraci, jęki ich podziemne — to wszystko zastarzałe clegije — to już niedrażni nawet nerwów, jak u gryzety, która się obczytała romansów Eugeniusza Sue — trzeba więc zmysłowo działać: walcem Straussa, szpanem, piekielną galopadą, gonitwami konnemi, rujnującym faraonem lub lancknechtem...*» Czy takicito odgłosy wewnętrzne grały w duszach Polaków księstwa Poznańskiego, którzy na tegoroczny karnawał zlecieli się ze wszystkich kątów, porzucając i gospodarstwo, i domowe sprawy, i skromne wiejskie życie dla wrażeń, dla pohłyszczania, poszastania się na salonach urzędowych, to pana Prezydenta, to Arcybiskupa, nieśmiemy robić domysłów; wolimy rzucić zapytanie naszym braciom poznańskim: niech nam i sobie sami odpowiedzą; praca to niewielka, a że dla nich i dla nas bez korzyści niechędzie, z góry ręcymy i czas wreszcie pokaże. Ale nie koniec na tém. Po prywatnych domach ten sam szal porywał wszystkie głowy, ma się rozumieć utrefnione i upomadowane. — Apropoz trefienia włosów — czybyście uwierzyli! Jakiś młodzieniec wezwany z wieloma akademikami do Poznania na wesele pana Dąbrowskiego przypędził pocztą z Berlina, prosię zgadnąć w jakim towarzystwie? — Akademików zapewne — gdzie tam, fryzjera!!! I czego się dziwić: musi być prawdziwy demokracja, niegardzi człowiekiem ludu — rzemieślnikiem. — Być może, z tém wszystkiem ten obywatel fryzjer, byłto rodzaj kamerdynera, któremu na młodzieniec powierzył opiekę swęj dostojnej głowy... Same nawet najwkwintniejsze poznańskie elegantki kręciły nosami na ten zbytek — kto wie, może dla tego

że niemialy przybocznych fryzjerów!... Wesele zatem pana Bronisława Dąbrowskiego było świetne i uroczyste — jako syna narodu — przeszło 600 osób hawiło się — a było sam naród, sama śmietana, same fraki a fraki, same okulary a lornety, same fryzury a fryzury. O Polsko! gdybyś w tęg chwili krzyknęła była na kón dzieci! — wszystko byłoby się ruszyło — do biufetu! wypić za twe zdrowie Ojczyzno! wszak twoje szczęście, wesele, zdrowie, jestto szczęście, wesele, zdrowie twych dzieci — a patrząc też na ich radością pijane oblicza, czego im potrzeba? czego powiedziecież zawistni? — Ojczyzno, swobód, życia narodowego, uszczęśliwienia ludu, podniesienia oświaty? — Baga-tele! — *Oto wolności bawienia się.*

Wspomnienie historyczne.

Katarzyna Kossakowska, z domu Potocka, wdowa po kasztelanie Kamińskim, słyneła w końcu zeszłego wieku z wielkiego patriotyzmu, oraz dowcipu, którym dzielnie umiała docinać tak królowi Stanisławowi, jak całej partyi moskiewskiej i figuror rządowym austriackim w Galicyi, gdzie ostatnie lata życia swego spędziła. Udzielamy kilka anegdot w których się małuje cała jej nienawiść do ciemiężców, oraz bystrość i przytomność umysłu, mimo wiek przeszło siedemdziesięcioletni.

Kossakowska była w laskach u Maryi Teresy, która ją ozdobiła krzyżem gwiazdzistym. Znak ten honorowy nigdy przecież nieblyszczał na jej piersiach, równie jak łaska obcego monarchy niewiele miała u niej wazenia. Wszakże Józef II zwiedzając Galicyę i ją nawiedził w Stanisławowie. Na wstępie zaczął rozmowę po francuzku; Kossakowska przez tłumacza odpowiedziała że nieumie innego języka, tylko polski. Zdziwilo to Jozefa że napotyka nieumiejącą po francuzku jedną z najmożniejszych pań polskich, o których starannem wychowaniu słyssał tak wiele. Kossakowska obróciwszy się do tłumacza, rzekła: Oświadczaspan Cesarzowi, że rodzice moi niespodziewali się ażeby ich córka, Polka, była kiedy za granicą. Józef zrozumiał że mówiła o zaborze Galicyi.

Na tęgże samęj wizycie cesarz pytał ją: Jak się ma pan Mniszech? — Chory, odrzekła — doktorowie życia nicobiecuja, zdaje się że on Niemca niestrawi. — Mniszech bowiem piérwszy, po zaborze kraju miał ogromny proces z rządem.

Pewnego razu, podczas obiadu, na którym miała u siebie wielu urzędników austriackich, przyszedł do drzwi jadalnej sali jakiś żebrak. Spozrzęła go Kossakowska, a dowiedziawszy się że to Niemiec, kazała go wpuścić i posadziła przy stole. Urzędnicy zaczęli przekładać, że to za wiele honoru, że dośchy dla niego jałmużny. — Nic to nieszkodzi, odpowiedziała, kto wie czém on w Polsce za lat kilka będzie, może Kreishauptmanem, może gubernatorem, a wtedy dobrze mi dopieczę, lepiej zawczasu ujmować papką i czapkę.

Gdy jej przedstawiano komisarza cyrkulowego, który się zwał Nagi, udając że niezrozumiała jakobyto jego było nazwisko, rzekła: Niewstydz się WPan, tak tu każdy z wasanów do nas przychodzi, ale się prędko okryje.

BARASZKI.

W dziwnych teżto czasach żyjemy. Dawniej bywało nigdy śmierć niepoprzedzała urodzin; teraz przeciwnie, jeszcze się komitet Zjednoczenia nienarodził, już umarł.

— Kom. kor. utrzymuje że komitet Zjednoczenia nieumarł, ale ciężkim zmęczony porodem wpadł w letarg tylko. Niedarmo przepowiadano że komitet będzie potrzebował liktora.

— *Trzeci-Maj* powiada: że dla tego bawi się w króla de facto że «*w gapia grać niechce.*» Nicjestże to sprawdzenie przyszłowania: Zamienił stryjek siekierkę na kijek.

— Pewien profesor, nicnając co lepszego robić, postanowił zmierzyć skłonność emigracyi polskiej do plotek; w tym celu wynalazł narzędzie zwane *plotki* czy *plotkarz* i rozesał je po wszystkich zakładach. Hoście zamówionych exemplarzy ma być skala usposobień zakładu.